

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Hymn.

Królowo polska, Królowo aniołów!
Ty, coś na świecie przeboleła tyle,
Gdy syn Twój zstąpił do ziemskich padołów,
Skróć umęczonej Polsce Twej mąk chwile!
Królowo polska, Królowo aniołów,
Roztocz ponad nią tęczę Twej opieki,
Odwiąt jej ręce od katowskich kołów,
Bądź jej aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Lecz wiesz zarówno, jakim blaskiem płonie
Ukrzyżowany — wniebowzięt' po zgonie,
Nie daj nas sieciom piekielnym na połów —
Nieśmiertelnemu na śmierć zbrojna leki,
Wykaż znów śmierci na nas, że jest niczem,
Wskrzęs nas, o Pani, przed światła obliczem,
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo polska, Królowo aniołów!
Ten świat się rozpadł, i rozdziera siebie —
Lecz żadna z jego rozerwanych połów
Już się nie modli, o Maryo, do Ciebie!
My jedni tylko, paląc się na stosie,
Wciąż ślemy modły w Twój bezmiar daleki —
Poznasz, Królowo, poddanych po głosie,
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!

Królowo Polski, Królowo aniołów!
Lilio bez zmayı, ty Gwiazdo poranna,
Mieczem boleści siedmiokrotnie ranna
Wiesz, co rozpaczy wizącej w sercu olów,
Co krzyż i gwoździe i rany i ciernie,
Wiesz, co krwi ziemskiej i łez ziemskich ciekli

I jak konania ból boli niezmiernie,
Bądź nam Królową teraz i na wieki!

Zygmunt Krasiński.



Zygmunt Krasiński.

II.

Powstanie listopadowe zastało Krasińskiego w Genewie. Chciał pospieszyć na pole walki, a nie mógł, gdyż zapewne ojciec mu zakazał. Ile wycierpiał poeta, to poświadczyć może następny urywek z listu, opisujący jego położenie podczas powstania. „Ten cały czas przeszedłem, przebolełem, przechorowałem, Wszystkich sposobów używałem, by dostać się do was, ale silniejsze nad moje ramiona zapory drogę mi zajęły; musiałem słuchać o waszych bojach i siedzieć na miejscu. Zaprawdę ci powiadam, że mi dnie i nocy na goręcej z początku, później na szaleństwie zeszyły. Wycierpiałem za winy wszystkich przodków moich“.

Dodać należy, że ojciec jego był stanowczo przeciwny powstaniu, nawet wstrzymywał część wojska od ruchu, czego o mały włos życiem nie przypłacił. Później usunął się do dóbr swoich. Nie minęła go za to nazwa zdrajcy. Można sobie łatwo wystawić smutne położenie Zygmunta. Do tego przyłączyły się cierpienia ciała, które go przez całe życie nie odstępowały. Mianowicie dokuczał mu ból oczu, zdawało się nawet, że zupełnie wzrok stracił.

Roku 1843 pojął Krasiński w małżeństwo Elżbietę Branicką, jaśniejącą, niezwykle urodą i

zaletami ducha. Pobłogosławił Bóg ten związek czworgiem dzieci. Druga córeczka Elżbieta, którą Krasinski nadzwyczaj miłował, zgasała w czwartym roku życia. Nieszczęśliwy rodzic taki położył napis na grobie ukochanego dziecięcia:

„Tu spoczywają zwłoki duszy przeanielonej, która za czteroletniego na ziemi pobytu zwała się Elżbietką Krasinską, córką Zygmunta i Elżbiety z Branickich Krasinskich. Urodzona w Warszawie 20 sierpnia 1853 r. skończyła w okropnych cierpieniach w Potoku 12 września 1857 roku. To dziecko przedziwnej było urody, a nigdy w życiu nie skłamało. Takie mu świadectwo wraz z łzami na grobie składają rodzice.... O nasza zbawiona, do Najdroższego Utajonego módl się za nami! O nasza zbawiona, do Królowej Aniołów módl się za nami! Przyczyn się za ziemią, która cię wydała, i za tymi, w których domu pusto po tobie“.

Jakże ten napis rozrzewniającym, tkliwym, serdecznym, prostym a przy tem dziwnie pięknym. Przytoczyliśmy umyślnie ten ustęp, bo odsłania nam nie tylko zaczątek duszy Zygmunta, ale zarazem daje nam wzór, jak Krasinski cudnie pisał po polsku.

Cierpienia fizyczne i srogi ucisk rządu rosyjskiego sprawiły, że Krasinski większą część życia spędził za granicą. Przebywał najwięcej w Francji, Niemczech i Włoszech. Choć miał znaczenie, majątek, rodzinę, jednak szczęśliwym nie był. Można by doń zastosować słusznie słowa Mickiewicza:

„Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“.



Nędza z Biedą.

(Dokończenie.)

Pan wojewoda miał syna jedynaka, syna, który miał świetne i sławę ojca i pradziadów musi przechować w potomne wieki. Wysłał go do Włoch, do Paryża po rozum, dawszy mu czwartą część skarbcu swego na drogę. Kiedy odjeżdżał, powtórzył mu wprawdzie stare przysłowie, że „Kto głupi, w Paryżu sobie rozumu nie kupi“... wierzył przecież inaczej i był pewnym, że więcej ukształconym wróci niżby siedział w kraju.

Bawił rok wojewodzie, zabrakło już mu złota, pan ojciec posłał starego dworzanina, z dwoma worami złota. Jedzie dworzanin, aż pod lipą

spotyka bladego w dziurawym żupanie, z kawałkiem pasa bogatego niegdyś, w czapce podartej, zdartymi buty, szlachcica. Chudzina skłonił nisko czapkę, powitał go dworzanin.

— Pomaga Bóg, panie bracie — rzekł do jadącego — a gdzieś to tak spieszą?

— Ha, jadę z pieniędzmi, miły bracie, dla młodego panicza. Pojechałem po rozum do Paryża, ale kaci po tem, rozum jakoś trudno idzie, a dużo pieniędzy kosztuje.

— Oj! — rzekł chudzina — powoli i rozum się znajdzie.

— Diabli po nim — odpowie dworzanin — przyjdzie wtedy jak pieniędzy zabraknie, a bieda zajrzy w oczy.

I odjechał.

Bieda czapkę w górę z radości rzuciła, wołając:

— Będę w zamku, będę i moją swachę wpro-dzę, wtedy choć raz pohulamy sobie!

Był to dzień uroczysty w zamku, obchodzono powrót z Paryża rozumnego wojewodzica. Stary wojewoda sprosił liczne sąsiedztwo, panów i szlachtę z okolicy. Zamek był przepełniony od samego rana, grzmi kapela. Przy wieczornym zmroku rozpalono kagańce, oświecono zamek rękawicami; w zamku widno, jakby słońce świeciło, za murami ciemno, choć oko wykół.

Nędza z Biedą ujrawszy lunę, rozumiejąc, że płonie zamek, wskoczył na mur i przytulone do obrosłej mchem baszty, spoglądały na dziedziniec.

W komnatach pełno gości, drobna szlachta wieczorowała na podwórzu, stary wojewoda ucieszony po długim rozdziale widokiem jedynaka, kazał wciągnąć beczki wina, miodu i piwa na poddasze i rynnami lać trunki. Przez cztery więc rynny lano to wino, to piwo, to miodu! a szlachta podstawiła konwie, to puławy, to gardła, czapki i pilli na zabój. O północy prawie wszyscy zmorzeni legli snem pijackim na podwórzu. Zsunęła się więc z muru Nędza z Biedą, a pewne, że brytany na awieży, oblizały rynny, z których sączyło się jeno; a podjadłszy z zostawionej ogromnej wołowej pieczeni, zajrzały w okna pierwszy raz w zamku.

Już kapela ustała, patrzyły w sypialnię starego wojewody; nie spał jeszcze, stało przed nim kilku żydów zagranicznych, siwy dworzanin rachował złoto, które z chciwością zgarniali. Byli to dłużnicy wojewodzica.

Stracił on wszystko, co ojciec posyłał, pożyczył bardzo wiele.... Wojewoda zapłaciwszy, z zaspionem obliczem zajął na łóżko, dworzanin stał zadumany. Pierwszy raz starcy obadwa poczuł brak w skarbcu, nie dziwota, Bieda i Nędza zajrzały już oknem.

Upłynęło lat trzy, stały pod lipą jak dawniej nierozłączne siostrzyce, statki próżne pływały na Wiśle, flisy smutni nie śpiewali, w zamku cicho, bo żałoba. Stary wojewoda umarł, kapela jego nadworna ostatni raz mu przygrała, prowadząc do grobu; syn wypróżniwszy skarbiec antenatów, stopiwszy srebrne i złote naczynia, sprzedał zboże na pniu, nie było co ładować do Gdańska.

Kaplica zamkowa już nie błyszczała świecącym dachem, wiatr zrywał z niej snopki brudnej słomy, bo młody wojewodzie obdarł ją z okrycia miedzianego z pozłotą, a dach co dwa wieki jaśniał, znikł stopiony u żydów.

Dworzanie rozbiegli się w różne strony kraju; utrzymanie zamku zbyt wiele kosztowało, postanowił więc przenieść pan młody mieszkanie swoje za granicę, sprzedawszy poprzednio wszystkie marmury tego gmachu swemu arendarzowi. Zapłakał stary dworzanin, kiedy bezbożne ręce wyrywały podłogi, łamały odrzwia, dobywając drogie marmury.

Opustoszał wspaniały zamek, brama stała otwarta, dziedzińiec zarósł murawą, a stare baszty omszone wynosiły jeszcze dumne czoła.

Nędza z Biedą bez obawy więc weszły razem, a chodząc po pustem podwórzu, natrafiły na drzwi do piwnicy otwarte. Weszły po spróchniałych schodach i w samym końcu długiego lochu, znajdując radosne, zapomnianą baryłkę drogiej „małmazji“, pamiątkę jedyną po starym wojewodzie. Kosztują wesoło, smaczne; piją więc rade, a piją, stare wino pomściło pamięć starego wojewody, upojone usnęły w tym lochu Nędza z Biedą.

Duch starego wojewody, co w długich nocach błądził po ruinach swego zamku, zatrzasnął drzwi żelazne od lochu i te dwie siostry choć do głodu nazwyczajne, skonały. Niepotrzebne też były w zamku Nędza z Biedą; bo zasiadło ich miejsce nie tak ohydne, poważniejsze „zniszczenie.“

Wędrownik patrząc na gruzy starego zamku, na te resztki baszt ogromnych, дума o jego przeszłości, żałuje upadku i może nieraz klęsce wojennej przypisze zniszczenie! a w lochu trupy Nędzy i Biedy leżą, trzymając się za ręce. Płynie drzwi duch wojewody i dla wstydu swej pamięci, nie dopuszcza nikogo; ukrył tam sromotę syna, który splamił jego imię i sławę.



Wśród lodów.

Opowiadanie o losach ludzi śmiałych, mężnie spełniających swój obowiązek.

Napisał dla kochanych dzieciątek

Wacław Sieroszewski.

I.

Amerykańskie „Towarzystwo mórz Północnych“ postanowiło wysłać okręt do jednego z biegunów. Wybrano biegun północny a z okrętów „Nadzieję“, najlepszy parowiec Towarzystwa.

W końcu czerwca statek wyruszył z San Francisco; po upływie dwóch tygodni przebył cieśninę Behringa i wpłynął na szerokie przestworze oceanu, gdzie w dali ukazało się przed nim wkrótce perłowe widmo pierwszych lodów. Słońce oświecało je właśnie, a one pływały w jego promieniach przejrzyste, powiewne niby odłamki srebrnych obłoków, zwracając ku niemu cypłe swe i krawędzie, zapalając się szybko gasnącymi blaskami.

Załoga „Nadziei“ zgromadzona na pokładzie statku, w milczeniu przypatrywała się temu pięknemu i groźnemu zjawisku. Statek ich, pędzący całą siłą pary wśród jasnej nieskończonej przestrzeni wód podobny był do małego chrabąszcza lecącego ku swej zgubie. Zostawiał za sobą przez chwilę tylko widzialny obłoczek dymu i brudną pieniącej się wody. Gdy wpadli nareszcie między lody, przybladł nad niemi lazur nieba, a widnokrąg przyćmiła mgła lekka.

Załoga dobrze była usposobiona i pewna siebie, gdyż Towarzystwo nie szczędziło wydatków na zaopatrzenie okrętu i przeznaczyło podwójny żołd dla wszystkich. Nad archipelagiem lodów unosiła się mgła, a one kołysały się z boku na bok, niby gromada białych, z łapy na łapę przestępujących niedźwiedzi, i chrobotaly, uderzając o siebie. Ten chrzęst, ten pomruk złowroźny, rósł, wzmagał się, potężniał, w miarę jak zwiększały się przesmyki wolnej wody; aż przeszedł w nieustający huk, który przy najmniejszym wietrze zmieniał się w ryk straszny. Towarzyszący mu plusk fal ciężkich i przyduszonych przypominał kłapanie kłów rozszalałego zwierza.

Przejsia wśród lodów stały się tak wąskie i tak często zmieniały kształt że statek lawirując wśród nich kreślił drogę, której obraz odrysowany na mapie przez starszego oficera, porucznika Willa, przedstawiał zbiór łamańców bardzo podobnych do pisma arabskiego.

Kapitan Mersey prawie nie schodził ze swego mostku: nikt nie wiedział, kiedy on spał. Czas jakiś statek posuwał się naprzód, krusząc

mniejsze zapory, omijając większe, aż wreszcie zadał silniejszy wiatr i lody natarły mocniej. Zamykając odwrót, uwieźli okręt w niewielkim basenie utworzonym przez duże pola lodowe, bokami do siebie przyparte. Prąd pochwycił statek wraz z temi polami i poniosł go na Północ.

Pędził ku zimie, i ona spieszyła na jego spotkanie. Słońce pokazywało się tylko na krótko; panowała noc nietyle ciemna, jak długa. Zimno stawało się coraz dokuczliwшем. Wilgotne liny od masztów i rei zamieniły się w palki twarde i sztywne; pokład statku pokrywał się śliską skorupą lodu, którą co rano trzeba było odrywać szpadlami. Majtkom kazano włożyć ciepłą odzież. Ze wszech stron wiały dokuczliwe wiatry. Morze kołysało się niespokojnie, podnosząc w górę okręt i lody. Załoga „Nadziei“ żyła w bezustannej trwodze o los statku. Nakoniec pękły ochronne pola lodowe i kry z łoskotem wściekłym rzuciły się na okręt. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było ruchome ich zastępy. „Nadzieja“ czas jakiś szła wśród nich, krusząc lód dziobem i zatapiając pod sobą; lecz walka taka długo trwać nie mogła.

Lody, jak gdyby statek dopiero teraz spotrządziły, wszystkie rzuciły się ku niemu. Kry, bryły, góry lodowe, lały sobie na grzbiety, bijąc się i rozpychając w szalonym pedzie ku nieszczęsnemu statkowi. Gwint i maszyna dawno działać przestały; statek poruszał się pod naciskiem zewnętrznej siły.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Do moich dzieciątek.

Zeszłym razem zachęcałem was, moje dzieciątka, do pilnego uczenia się polskiego czytania i pisanja, do uczenia się po polsku historii świętej i katechizmu.

Dziś wam coś nowego innego tu napiszę a przekonany jestem, że te dzieciątka, które się chcą Panu Jezusowi przypodobać, te też ściśle i sumiennie wypełnią owych poniżej podanych.

dwanaście przedsięwzięć dobrego dziecka.

A jak się one nazywają, kochany Ojciec? tak słyszę was mówiących. Czekaście tylko i uważajcie. Oto:

1) Przedsięwzięcie sobie, natychmiast wstać, gdy mnie obudzą.

2) Przedsięwzięcie sobie, nabożnie zmówić paciorek poranny i wieczorny.

3) Przedsięwzięcie sobie zawsze na czas być w kościele i szkole.

4) Przedsięwzięcie sobie, że tak w szkole jak i w kościele nie będę rozmawiał, się rozglądał i innym dzieciom przeszkadzał.

5) Przedsięwzięcie sobie zawsze przedk o usłuchać, gdy mi moi rodzice i nauczyciele coś rozkażą.

6) Przedsięwzięcie sobie nigdy nie sarkać na moich rodziców lub nauczycieli.

7) Przedsięwzięcie sobie wszystkie zadanie w szkole zawsze tak pięknie i dobrze odrabiać, jak to tylko umieć będę.

8) Przedsięwzięcie sobie, że nigdy nie będę przestawał ze złymi towarzyszami.

9) Przedsięwzięcie sobie zaraz po szkole wracać do domu.

10) Przedsięwzięcie sobie, w domu, zawsze się nauczyć dobrze zadań szkolnych.

11) Przedsięwzięcie sobie nie być łakomym ani też nie kłamać.

12) Przedsięwzięcie sobie, że co wieczór, zanim pójdę na spoczynek, zrobię rachunek sumienia.

Przekonany jestem, że do moich rad się, dzieciątka, przychylicie, bo wiem, że wy wszystkie Pana Jezusa, którego przyjdzie oczekiwać, bardzo kochacie. Sprawicie mu więc, gdy ściśle wypełnicie, owe przedsięwzięcia, wielką radość, a za to was ta Boża dziecina swą drobną rączką pobłogosławi.

Pozdrawia Was i waszych kochanych Rodziców jak najserdeczniej
Wasz
Ojciec Bogumił.

Od Ojca Bogumiła.

Do Melanii Zalewskiej. Serdecznie Ci, dziecko moje, dziękuję za twoją ofiarę na „Dom polski“ w Gdańsku. Niech Ci za to Pan Jezus stokrotnie wynagrodzi O żeby to wszyscy moi mali przyjaciele o tem pamiętali, że my dachu nad sobą nie mamy, o wtedyby też pewnością przysłałiby swój grosik na cegiełki, żebyśmy czempredziej dom dla siebie postawić mogli. Smutno to smutno, mój Boże, jeżeli się nie ma dachu nad głową!

